

Kunktatorzy i herbaciarze

9 października 2010

Jeszcze przed paroma tygodniami wydawało się, że prezydentura Baracka Obamy, a już na pewno przyszłość jego partii jako większości w nowym Kongresie, zawisła na cienkim włosku, który może zerwać łada podmuch, podczas gdy na horyzoncie pojawiła się potężna nawałnica.

Powodów tak diametralnego odwrócenia sytuacji sprzed zaledwie dwóch lat jest na pewno kilka, choć za ten decydujący trzeba uznać bez wątpienia rosnące rozczarowanie polityką prezydenta, nie tak dawno temu witanego nieomal jak zbawca.

Tryumfalna elekcja Obamy obudziła wielkie, odpowiadające równie wielkiej skali potrzeb, nadzieje tak w samej Ameryce, jak i na świecie. Nadziejom tym uległ w pewnym sensie, mimo deklarowanego jeszcze w październiku 2008 sceptycyzmu co do „rewolucyjnych” oczekiwań, i niżej podpisany.

No i minęły prawie dwa lata. Powiedzieć, że przez ten czas Obama i jego ekipa nic nie zrobili byłoby ogromną przesadą. Gdy spojrzeć zimnym okiem, lista dokonań tej ekipy jest wcale imponująca. Chociażby reforma systemu ubezpieczeń zdrowotnych, z europejskiego punktu widzenia daleka od ideału, ale stanowiąca autentyczny przełom w warunkach amerykańskich, kraju gdzie, pamiętajmy o tym przez cały czas, wielki biznes odgrywa niepomrotnie większą rolę i gdzie inaczej się na te sprawy patrzy. Ustawa gwarantująca prawie całej populacji prawo do opieki medycznej, jest historycznym wyczynem i tego Obamie nikt już nie odbierze.

Podobnych ważkich reform znalazłoby się jeszcze kilka. Niestety, rozczarowanie prezydentem i jego polityką pozostaje uzasadnionym faktem, albowiem Obama poniósł klęskę w dwóch kluczowych, nakładających się na siebie sprawach, które mogą okazać się decydujące.

Prawdziwym problemem jest nie tylko być lub nie być Baracka Obamy jako prezydenta dwóch kadencji. Z uwagi na rolę, jaką odgrywają na scenie globalnej Stany Zjednoczone, wszystko, co upichci się w kotle politycznym nad Potomakiem albo na Wall Street, prędzej czy później odbije się echem w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej. Bolesnym przykładem był koniec roku 2008, gdy krach na Wall Street, zupełnie jak w 1932, szybko przemienił się w kryzys światowy.

Obama otrzymał wyraźny mandat wyborczy. Mandat do zmiany. Nie tylko doraźnych korekt po ośmiu tragicznych latach rządów George'a W. Busha, ale przekształcenia chorego od lat systemu. A temu, że system potrzebuje diametralnej transformacji, na miarę rooseveltońskiego Nowego Ładu, tyle że epoki internetu i globalizacji, trudno zaprzeczać.

Ryzyko jest ogromne. Jeżeli Obamie nie uda się tego dokonać, wzrastająca frustracja i gniew skupią się na nim, na czym zyska opozycja, która jak pamiętamy – choć amerykańskie społeczeństwo już zdaje się zapominać – będąc u władzy forsowała skompromitowane idee i doprowadziła do kryzysu, nie pierwszy zresztą raz. Problemem jest to, że nie będzie to chyba raz ostatni.

Obiektywnie patrząc, trudno spodziewać się po Amerykanach dłuższej cierpliwości, gdy ich gospodarka kuleje, a dalsze perspektywy przedstawiają się, mówiąc delikatnie, bardzo mizernie. Obama oczywiście za sam kryzys nie odpowiada, ale i tak jest rozczarowaniem, coraz bardziej proporcjonalnym do obudzonych wcześniej nadziei.

Weźmy chociażby pakiet stymulujący gospodarkę, jedno z jego pierwszych posunięć. Sam pomysł dobry, wręcz konieczny, co nieraz udowadniały analogiczne sytuacje kryzysowe na przekór biadaniom intelektualnie zbankrutowanych piewców neoliberalizmu, po których właśnie trzeba było posprzątać. Jednakże „stimulus” w wykonaniu Obamy był tylko doraźnym środkiem zapobiegawczym, takim jaki próbował zastosować pod

sam koniec swej kadencji Bush, gdy nawet do jego ograniczonego mózgu dotarło, że coś się psuje i niewidzialna ręka tym razem nie rozwiąże problemu.

Nowa administracja skupiła się przede wszystkim na ratowaniu zachwianego status quo przede wszystkim banków, aby w przyszłości ich prezesi, gdy tylko znów poczują się bezpieczni, mogli dalej kontynuować swe harce z kreatywną księgowością i finansowymi piramidami oraz pozostałych mołochów etc. Czegoś zabrakło i to czegoś bardzo fundamentalnego – śmiałej wizji głębokich zmian. Stworzenia – korzystając z przewagi, jaką dawały społeczne nastroje i dramatyczna sytuacja – trwałych mechanizmów, aby uniknąć takich sytuacji w przyszłości, zabrakło inwestycji w nie mniej ważne, a nawet ważniejsze, dla przyszłych generacji, gałęzie gospodarki i społecznej infrastruktury.

Stimulus nie przyniósł widocznej poprawy. Nawet wiceprezydent Joe Biden, odpowiedzialny zresztą za rozdział funduszy z tego tytułu, przyznał w przystępie wręcz samobójczej politycznie szczerości, iż pakiet nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, a sama administracja „źle odczytała stan gospodarki”.

I tu dochodzimy do zasadniczego problemu. Wobec braku widocznych efektów, a wątpliwe, aby te się szybko i w wystarczającym stopniu objawiły, nie ma co liczyć na wygenerowanie entuzjazmu koniecznego dla wdrożenia zmian naprawdę koniecznych, a Obama jest wyraźnie niezdolny do podtrzymania nadziei dotychczasowymi, szczątkowymi sukcesami.

Prezydent okazał się równie nieudolny w wynajdywaniu odpowiednich wzorców dla swych rządów. Znana ogólnie jest jego fascynacją postacią Abrahama Lincolna i sam Obama wielokrotnie jego stawiał sobie za przykład. Niestety, najwyraźniej nie zrozumiał jak odmienna jest sytuacja z roku 1860 od tej z 2008. Lincoln sprawował władzę bez wyraźnego mandatu w okresie, gdy kraj rozpadał się w oczach i aby go utrzymać, potrzebne było umiarkowanie, daleko idąca kompromisowość.

Obama stara się wiernie trzymać ścieżki wytyczonej przez swojego idola.

A sytuacja jest diametralna, do ukochanego wzoru prezydenta pasująca niczym pięść do nosa. Najbliższym jej odpowiednikiem jest rok 1932, gdy kraj jak dziś był w jednym kawałku, ale panujący od lat system okazał się niewydolny. Obama mógł być nowym Franklinem Delano Rooseveltem, który wbrew złorzeczeniom konserwatystów, uzbrojony w silny mandat i zaufanie społeczne, zdając sobie sprawę, że to przysłowiowe „now or never!”, dokonał radykalnych, oczywiście jak na amerykańskie uwarunkowania, przeobrażeń z pomocą ludzi o podobnym rozeznaniu i doskonale wiedząc, iż na ułagodzenie politycznych przeciwników nie ma nawet co liczyć.

Obama, zamiast wykazać się rooseveltofską odwagą i zrozumieniem dla historycznej szansy, z uporem maniaka stara się stosować rozwiązania jak najbardziej umiarkowane, byleby tylko nikogo do siebie nie zrazić. Wyciąga raz po raz rękę do republikanów, łudząc się, iż jest w stanie zaprząć ich do wspólnej, patriotycznej pracy, i raz po raz po łapie dostaje. Republikańscy konserwatyści nie są zainteresowani wspólną pracą nad zmianami, reformowaniem tego, co sami sknócili. I z politycznego punktu widzenia postępują właściwie.

Realna zmiana, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, staje się coraz bardziej pobożnym życzeniem. Obama zwyczajnie zmarnował historyczną szansę. Gdyby chodziło tylko o jego reelekcję, moglibyśmy spokojnie machnąć na to wszystko ręką. Niestety, nie chodzi tylko o porażkę Baracka Obamy. Jego klęska oznacza otwarty powrót do władzy w Stanach Zjednoczonych rozwścieczonych konserwatystów i, bardzo prawdopodobną rezurekcję ich zbankrutowanej ideologii, która przysporzyła światu tak wielu cierpień. O ile oczywiście w międzyczasie nie wytworzy się jakiś ośrodek alternatywny, który udowodniłby skuteczność właściwie wdrażanych rozwiązań (na myśl przychodzi, zwana przez Ryszarda Kapuścińskiego laboratorium świata, Ameryka łacińska pod rządami skutecznej

lewicy, albo Unia Europejska, jeżeli rządzący nią nie będą bezmyślnie zdawać się na kiepski przykład zza oceanu, co niestety zdają się czynić), który pozwoliłoby nam uchronić się od kolejnych klęsk hojnie przez Amerykanów przeszczepianych za granicę.

Tak, jeszcze dwa tygodnie temu partia nieudolnego prezydenta wydawała się skazana na pewną porażkę w wyborach do Kongresu, a następnie zapewne i w wyborach prezydenckich. Na porażkę z rąk odrodzonych neoliberalnych ideologów.

Jednakże, niespodziewanie, Obama i cała Partia Demokratyczna, dostała szansę ocalenia skóry. Szansę, którą zresztą podsunęli sami republikanie.

Mowa oczywiście o skrajnie prawicowym ruchu Tea Party, ostentacyjnie niezależnym, ale mającym coraz większe wpływy w aparacie republikanów. Geneza i rozmaite odcienie tego ruchu to sprawa na osobny artykuł, choć nie da się wręcz nie zauważyć dominacji radykalnie konserwatywnej demagogii, oskarżającej umiarkowanego przecież aż do bólu Obamę o wprowadzanie „socjalizmu” w Stanach Zjednoczonych, wykorzystywania poczucia społecznej niepewności i wmawiania społeczeństwu, że za kłopotami nie stoi bynajmniej prawica, tylko właśnie co bardziej postępowe rozwiązania. W tym ruchu znajdziemy wielu byłych neokonserwatystów, dla których George W. Bush stał się „zbyt umiarkowany”, a ich nowym idolem została Sarah Palin, ludzie o mentalności dziewiętnastowiecznej gdy idzie o problemy gospodarcze skupieni wokół Rona Paula, a także najzwyczajniejszy margines rasistowski, dla których kolor skóry prezydenta jest dodatkowym kamieniem obrazy.

Tea Party spędza sen z powiek, do niedawna pewnego sukcesu w wyborach, przejęcia kontroli nad Kongresem i, w perspektywie, Białego Domu, republikańskiemu establishmentowi, utracając w prawyborach wielu bardziej umiarkowanych (co wcale nie znaczy, że liberalnych) kandydatów. Ich następcy, jak choćby Christine

O'Donnell w Delaware, oznaczają pewne zwycięstwo kandydata demokratów, który nie miałby szansy z, na przykład. jej umiarkowanym oponentem w prawyborach. Zwolennicy Tea Party dali też nadzieję demokratom na zachowanie mandatów np. w Nevadzie, gdzie wcześniej kandydaci demokratyczni byli skazani na pewną klęskę, a teraz mają pewne szanse się utrzymać.

Efekty bezprecedensowego ideologicznego polowania na czarownice, które spokojnie może przywozić na myśl obecną autokastrację PiSu w Polsce, mogą ocalić większość demokratyczną (choć straty wydają się nieuniknione, ale w stanach, gdzie zwolennicy Tea Party nie zdążyli utracić wartościowych kandydatów), a za następne dwa lata, gdy ekstremiści przejmą kontrolę nad maszyną, a zatem i prawyborami, zapewnić Obamie reelekcję, gdyż faworyt Tea Party raczej na pewno okaże się niestrawialny dla większości Amerykanów, którzy pewnie poparliby innego republikanina.

Tylko czy to coś zmienia? Dla demokratów na pewno jest to powód do ogromnej radości. I tu można dostrzec pewną analogię do sytuacji w Polsce, gdzie Platforma, mimo braku prawdziwych osiągnięć jako siła rządząca, może czuć się bezpiecznie z powodu słabości rywali.

Właśnie, błogie samozadowolenie. Partia Republikańska, kontrolowana przez szaleńców z Tea Party, skazujących samych siebie na pasmo porażek, jest bardzo wygodna dla demokratów, którzy, podobnie jak PO, będą się czuli zwolnieni z konieczności odważnych posunięć (o ile my nie chcielibyśmy widzieć PO wdrażającej neoliberalną, statutową ideologię, o tyle nie wdrażanie postępowych reform w USA to zupełnie inna sprawa), a bez radykalnych działań we właściwym kierunku, nie ma co mówić o zmianie na lepsze. W wersji hard do steru powrócą zrehabilitowani w oczach zniecierpliwionego społeczeństwa jawni spadkobiercy Busha. W wersji soft umiarkowani aż do bólu demokraci utrzymają się u władzy, z wygodnictwa rezygnując ze zmian, a stare porządki powrócą tylnymi drzwiami i pod inną, bardziej „ludzką” twarzą. Skąd my

to znamy?

Dziś „Change” stała się tylko pustym sloganem, symbolem zawiedzionych nadziei. Amerykanie zawiedli świat po raz kolejny. Nam zaś pozostaje mieć tylko nadzieję, że bardzo prawdopodobne odrodzenie szalonego konserwatyzmu za oceanem nie przyniesie Europie, Afryce, Azji i Ameryce Południowej odrodzenia globalnej, neoliberalnej ideologii.

Autor: Krzysztof Pacyński

Źródło: [Lewica](#)